

Młody Kraków

MAGAZYN
MŁODYCH

Czytajże!

nr 8 • grudzień 2019 • www.mlodziez.krakow.pl • ISSN 2657-585X • nakład 3000 egz.

**Zupa
ratuje życie**

Krótki
przewodnik
po świecie
komiksu

Gwiezdne Wojny
pod lupą





Grudzień pełen cudów

Grudzień to tradycyjnie miesiąc cudów, gdy w sercach robi się cieplej. Być może brzmi to trochę łązwo i patetycznie, ale ten miesiąc taki jest: mikołajki, Boże Narodzenie, w szkołach i poza nimi mnóstwo charytatywnych akcji, Międzynarodowy Dzień Wolontariatu, etc. Trochę i nam udzielił się ów grudniowy nastrój...

W ostatnim tegorocznym wydaniu „Młodego Krakowa” piszemy o znanych krakowskich akcjach charytatywnych, w których udział biorą także uczniowie szkół ponadpodstawowych. Z nadzieją, że mogą stać się inspiracją dla tych, którzy w tego rodzaju działalności jeszcze się nie rozsmakowali.

W numerze jak zawsze trochę kultury. Tym razem przygotowaliśmy materiał będący krótkim przewodnikiem po świecie komiksu oraz potężną recenzję ostatnich dokonań filmowców, tworzących sagę Star Wars. Jest też m.in. relacja z podróży do Laponii i opowieść o człowieku – triathloniście, który zanim zaczął zwyciężać w zawodach sportowych, musiał pokonać swoje nałogi i demony. Opowieść w sam raz na grudzień. Prawdziwa, ale jednak – cudowna.

No to, Czytajże!

Martyna Smoter

**Młody
Kraków** MAGAZYN
MŁODYCH
Czytajże!

Projekt „Młody Kraków – Młode Media”
otrzymał nagrodę Europejskiej
Sieci Miast Przyjaznych Dzieciom
w Stuttgarcie w roku 2011.



Wydawca:

Urząd Miasta Krakowa
Wydział Polityki Społecznej i Zdrowia
ul. Dekerta 24, 30-703 Kraków

Adres redakcji:

Referat ds. młodzieży, pok. 16
ul. Dekerta 24, 30 – 703 Kraków

Kontakt z redakcją:

tel. 12 616-78-19
e-mail: mlodziez@um.krakow.pl

Redaguje zespół:

Tomasz Talaczyński (redaktor naczelny),
Bartek Hałatek, Maja Jakubowska,
Lidia Kędra, Weronika Koczoł,
Kinga Kowal, Oliwia Kurlęto,
Jakub Leśkiewicz, Wiktorія tyko,
Jakub Pilarski, Błażej Renc,
Jan Skowronek, Martyna Smoter,
Mateusz Talaczyński, Jerzy Walaszek

Współpraca:

Zuzanna Bober, Łucja Woźniak,
Jan Woźniak

**Opracowanie graficzne,
pomoc redakcyjna i korekta:**

Pracownia Register
ul. Halczyna 7, 30-086 Kraków
tel. 12 265 85 50
e-mail: info@pracowniaregister.pl
www.pracowniaregister.pl

Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych, zastrzega sobie prawo
ich skracania, zmiany tytułów oraz
redakcyjnego opracowywania tekstów
przyjętych do druku.

Fotografie zamieszczone w magazynie
są ogólną ilustracją tekstów, nie zawsze
przedstawiają bohaterów artykułów.

**Młody
Kraków**

- 3 Zupa ratuje życie**
- 5 Przez żółądek do tysięcy serc**
- 7 Triathlonowy mistrz z odzysku**
- 8 Fundraiser, idealna praca dla studentów i uczniów?**
- 10 Obrazki, które podbiły świat**
- 12 Kręcić się w kółko, czyli Trzecia Trylogia Gwiazdnych Wojen**
- 14 Główka pracuje... w Małopolsce**
- 15 Kungsleden, szlak bezkresami Laponii**
- 18 Kto się boi zielonego listka?**



**Rozmowa z Katarzyną Cholewą,
jedną z działaczek – wolontariuszek
Zupy na Plantach w Krakowie.**

ZUPA

ratuje życie

Kiedy rozpoczęła się Wasza działalność i skąd wziął się pomysł na taką formę wolontariatu?

→ Zupa działa od końca 2016 roku. Nie było jednej konkretnej sytuacji czy osoby, która byłaby inspiracją. Jedną z takich sytuacji były np. słowa papieża Franciszka podczas Światowych Dni Młodzieży w 2016 r. o tym, że trzeba się ruszyć i wstać z kanapy. Zainspirowało nas też miejsce, w którym się znajdujemy – ŻyWa Pracownia – bo w tej okolicy i w sąsiedztwie swojego mieszkania Adam i Magda, którzy tą pracownią zarządzają, mieli styczność z osobami bezdomnymi proszącymi o jedzenie. Stąd w gronie kilku osób pojawiła się myśl, że robi się zimno i może trzeba spróbować wyjechać z jakimś ciepłym posiłkiem, z zupą, na ulicę. Do tych osób, które spędzają noce w zimnie, nie posiadają potrzebnych ubrań, ciepły posiłek jest najprostszą rzeczą, która może ich ogrzać. Zaczęło się od wyjeżdżania na dworzec, Planty. W końcu spytaliśmy wprost, gdzie mogłoby być takie stałe miejsce spotkań. A oni wskazali właśnie „kółko”, plac na Plantach przy Teatrze Słowackiego, gdzie się aktualnie spotykamy i rozdajemy zupę.

Czy oprócz gotowania zupy robicie dla osób w kryzysie bezdomności coś jeszcze?

→ Tak, w Zupie powstały już nawet podgrupy robocze. Tutaj, w ŻyWej Pracowni na Celnej 5, spotykamy się w każdą niedzielę, niezależnie czy jest to Boże Narodzenie, Nowy Rok, czy jakiegokolwiek inne święto. Gotujemy od godziny 15 do 18, a o 18:30 spotykamy się z osobami w kryzysie bezdomności na Plantach. Poza tym przygotowujemy także paczki ubraniowe – mamy tzw. Magazyn Ciepła, którym zajmuje się „grupa szafowa”. Szafa na ubrania zajmuje całą ścianę jednego z trzech dużych pomieszczeń ŻyWej Pracowni. Gromadzimy w niej ciepłe rzeczy darowane przez ludzi – bluzy, kurtki, buty, które



zawsze są potrzebne, bieliznę, śpiwory, kosmetyki, koce. W niektórych przypadkach może to uratować życie.

Drugą podgrupą jest grupa streetowo-pustostanowa, która dwa razy w tygodniu wieczorami wyjeżdża w miejsca niemieszkalne w Krakowie. Niemieszkalne, ale zamieszkałe przez osoby w kryzysie bezdomności. Są to opuszczone budynki, altanki, ogródki działkowe czy też ławki na Plantach, które późniejszą porą są pozajmowane przez bezdomnych. Pod głową mają plecak z rzeczami, a przykrywają się śpiworami. Jeździmy z ciepłą herbatą, kanapkami, ciepłymi ubraniami, rozmawiamy, pytamy, czy czegoś nie potrzeba. I przede wszystkim nawiązujemy relacje.

Jest jeszcze tzw. grupa garowa, która bezpośrednio zajmuje się gotowaniem zupy, staniem przy garze. To jest jednak kilkadziesiąt litrów zupy i ja, na przykład, nigdy się tego nie podjęłam.

Mamy też Mobilną Bibliotekę, która powstała, ponieważ coraz więcej osób zaczęło pytać o książki, gdy jedna z osób przychodzących na „kółko” dostała książkę od wolontariuszki. Naprawdę spora liczba osób żyjących na ulicy chce czytać i kiedy przychodzimy w niedzielę na Planty, to nie stają od razu w kolejce do zupy, tylko szukają wolontariuszy przynoszących książki. ŻyWa Pracownia prowadzi też dla osób doświadczających bezdomności działania kulturalno-społeczne – bo jest to pracownia rzemiosła artystycznego.

Ile litrów zupy gotujecie?

→ Wychodzi nam około stu litrów zupy tygodniowo. Zawozimy ją na Planty w czterech dużych termosach.





→ Ilu macie wolontariuszy?

→ Organizujemy się na Facebooku – tam na grupie jest kilkaset osób, ale wiadomo, że ktoś przyjdzie np. raz na trzy tygodnie w niedzielę, ktoś jeździ na pustostany, a ktoś był parę razy, ale już nie przychodzi. Ale na takim typowym niedzielnym spotkaniu jest od kilkunastu do kilkudziesięciu osób.

Potrzebujecie kolejnych wolontariuszy?

→ Jak najbardziej, zawsze. Najważniejsze jest spotkanie w niedzielę na Plantach. Jeśli ktoś dysponuje mniejszą ilością czasu, to wtedy zachęcamy, żeby przyjść na samo spotkanie z bezdomnymi. Bo przychodzących się z nami spotkać jest w tym momencie nawet około 150–200 osób. Wielu już znamy, rozmawiamy z nimi, ale nie jesteśmy w stanie pogadać ze wszystkimi. Budowanie relacji, rozmowa to najważniejsze, co robimy. Tego najbardziej brakuje osobom, które doświadczają bezdomności, więc zachęcamy do dołączenia.



Jak osoby bezdomne reagują na Waszą działalność, pomoc?

→ Często mówią, że to dla nich ważne, że widzimy w nich ludzi. Dla nas to normalne – są tak samo ludźmi, jak my. Ale zwykle osoby bezdomne w przestrzeni publicznej nie są zbyt dobrze odbierane i traktowane. Komuś może przeszkadzać osoba pod wpływem alkoholu, siedząca na Plantach. Jednak to jest też kwestia zrozumienia, że człowiek ma jakieś problemy i dlatego w takiej sytuacji się znajduje.

Czy miałaś jakąś sytuację, która Cię najbardziej poruszyła?

→ Z zawodu jestem lekarzem i zdarzyło mi się, że jechałam do dziewczyny śpiącej pod mostem ze swoim partnerem. Zadzwoenił, że potrzebna jest pomoc, bo ona ma problemy jelitowe, jest słaba. To było w nocy. Zbadałam ją w namiocie, po ciemku. Zdecydowaliśmy, że trzeba pojechać na SOR, bo nie miałam pewności, co się dzieje, a coś niepokojącego ewidentnie działo się z brzuchem. Okazało się, że dziewczyna jest w ciąży, w ósmym miesiącu, o czym nie wiedziała. Następnego dnia został wywołany poród ze względu na zdrowie jej i jej dziecka. Nie było tej ciąży widać, bo fizycznie, zewnątrznie jej wygląd niewiele się zmienił. Nie zaobserwowała też zmian w swoim ciele, ponieważ osoby w kryzysie bezdomności często tracą

czujność co do swojego zdrowia, które spada daleko na liście priorytetów. Więc kiedy już mam dość, bo Zupa bywa obciążająca ze względu na wielość problemów, którymi dzielą się z nami osoby doświadczające bezdomności – to przypominam sobie o tej sytuacji. Teraz dziecko ma już 1,5 roku, jest zdrowe. Zdarza nam się też sporo takich sytuacji, że zamknięta, nieufna osoba, po chwili krótkiej rozmowy opowiada nam całe swoje życie. Im bardzo brakuje rozmowy i szczerego wysłuchania.

Styszałam, że planujecie organizację mieszkania dla osób w kryzysie bezdomności.

→ Tak, wzorujemy się na mieszkaniach treningowych, które prowadzą różne organizacje zajmujące się zwalczaniem problemu bezdomności. Inspiruje nas, że to faktycznie pomaga w wychodzeniu z bezdomności. Chcemy wynająć mieszkanie i udostępnić je osobom próbującym sobie poukładać życie. Ostatnio byliśmy na Tauron Arenie, gdzie głosił ojciec Adam Szustak i udało nam się zebrać ponad 110 tys. złotych. Liczyliśmy na ok. 60 tys., które wystarczyłoby mniej więcej na rok – otrzymaliśmy niemal dwa razy więcej. Potrzebna jest opieka pracownika socjalnego i wsparcie psychologiczno-terapeutyczne oraz całe zaplecze techniczno-logistyczne.

Czy akcje takie jak Wasza odbywają się także poza Krakowem?

→ Są inicjatywy, „Zupy”, w innych miastach, wzorujące się na naszej. Gdy już działaliśmy kilka miesięcy, okazało się, że w Sopocie taka forma wolontariatu wystartowała nieco wcześniej – przed nami. Cieszymy się, że idea wychodzenia na ulicę z czymś ciepłym, porozmawiania, a przede wszystkim stworzenia przestrzeni spotkania, rozprzestrzenia się i działa. Dzięki temu możemy uświadamiać ludzi, że bezdomność to nie jest kwestia wolnego wyboru – chyba nikt nie chce żyć i spać pod gołym niebem, w niepewnych warunkach, czując, że nie pachnie za dobrze, że jest głodny. Wyjście z bezdomności nie jest wcale proste, gdyż ta nierzadko wiąże się z uzależnieniem. Często mamy wrażenie, że ktoś już sobie coraz lepiej radzi, naprawia relacje, wraca do pracy, a potem tracimy z nim kontakt i za parę tygodni okazuje się, że śpi gdzieś na ławce w parku, bo wpadł w ciąg alkoholowy albo żona nie chce, żeby do niej wrócił. I wszystko się sypie.

W takim razie: czy warto?

→ Tak, zdecydowanie. Gdy uświadamiam sobie, że ja mam wszystko, czego potrzebuję, a nawet dużo więcej, a są osoby, które nawet podstawowych rzeczy nie mają, że takich nierówności jest bardzo dużo, to sprawia, że chcę próbować coś zmieniać wokół siebie. Próbujemy stworzyć rzeczywistość, w której ludziom doświadczającym różnych kryzysów będzie się żyło chociaż trochę lepiej i w której nie będą wykluczani. Najbardziej mnie motywują relacje, które już nawiązaliśmy. Wiem, że zawsze jest ktoś, dla kogo rozmowa z nami jest ważna, jest stałym elementem tygodnia.

Dziękuję za rozmowę.

Lidia Kędra



Fot. z archiwum Duszpasterstwa Akademickiego „Beczka”

Przez żołądek do tysiący serc

Pożyteczne
wydarzenia
charytatywne
zaczynają się od
prostych akcji.

Stare powiedzenie mawia „przez żołądek do serca”. Akcja „Ciacho za ciacho” pokazała, że jest w tych słowach wiele prawdy. Studenci Duszpasterstwa Akademickiego „Beczka” od szesnastu lat organizują kiermasz ciast, pozwalający wspierać przeróżne inicjatywy i nieść pomoc potrzebującym. Proste wypieki przygotowane prosto z serca zachęcają innych do czynienia dobra.

Zaczęło się od kiermaszu ciast

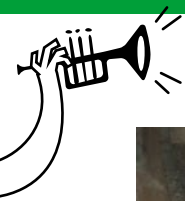
Rozpoczęło się niepozornie, w grudniu 2003 roku. Pierwotna idea kiermaszu była prosta. Wzięła się z chęci pozyskania funduszy na organizację wigilii w Ośrodku dla Osób Dotkniętych Przemocą. Każdy miłośnik domowych wypieków mógł upiec własne ciasto, a w zamian za to miał możliwość skosztować słodkości przygotowanych przez innych studentów. Jeżeli zdolności kulinarne Beczkowicza ograniczały się wyłącznie do degustacji przygotowanych ciast, istniała możliwość wrzucenia do skarbonki symbolicznej opłaty za ciasto. Głównym celem organizacji kiermaszu była zbiórka pieniędzy na określone inicjatywy. Efektem ubocznym stała się integracja członków grupy charytatywnej „Szpunt” oraz całego duszpasterstwa.

Potem była biblioteka

Ogromny sukces pierwszej edycji akcji „Ciacho za ciacho” miał wpływ na podjęcie decyzji o kontynuacji dzieła. Od tej pory nadchodzące święta Bożego Narodzenia oraz czas adwentu kojarzył się wielu studentom z przygotowaniami do tego wydarzenia. „Ciacho za ciacho” odbywało się w jedną z grudniowych niedziel. Ciasta można było nabyć w krążgankach klasztoru Dominikanów, do którego wierni licznie zaglądali po każdej mszy świętej oraz podczas popołudniowych spacerów.

Z roku na rok pojawiały się kolejne pomysły na ulepszenie kiermaszu. W 2005 roku do ciast dołączyła pokaźna biblioteka ofiarowana przez darczyńcę. Pomysł spodobał się do tego stopnia, że jest kontynuowany do dnia dzisiejszego. Przed każdą edycją studenci licznie gromadzą się w podziemiach klasztoru, aby wspólnie porządkować, segregować i wyceniać ofiarowane książki. Zaangażowanie w akcję daje nie tylko satysfakcję, ale również szansę na znalezienie rzadko dostępnych tytułów książek, co przyciąga wielu krakowskich antykwariuszy i może uszczęśliwić niejednego książkowego mola.





Fot. z archiwum Duszpasterstwa Akademickiego „Beczka”

➔ Nie tylko raz w roku

Z czasem okazało się, że kiermasz raz do roku to za mało. Zdecydowano się na organizację „Ciacha” również w okresie poprzedzającym Wielkanoc. Szpuntowicze dodali również do repertuaru gofry z przeróżnymi dodatkami, tosty, lemoniadę, a dla osób chcących zatrzymać się w dominikańskich kręzątkach na dłużej uruchomili kawiarnię serwującą jedyną w swoim rodzaju kawę, dostępną w Krakowie jedynie dwa razy do roku – przed świętami Bożego Narodzenia oraz na Wielkanoc.

Organizatorzy nie zapomnieli o dzieciach. Od niedawna dla najmłodszych przygotowują pokazy przeróżnych doświadczeń fizycznych oraz chemicznych prowadzone przez doktorantów krakowskich uniwersytetów. Z kolei dorośli, przechadzając się po kręzątkach klasztoru, mogli wysłuchać koncertu muzyki barokowej. W 2018 roku kiermasz zakończyła licytacja fantów otrzymanych od darczyńców oraz wielu krakowskich instytucji, takich jak Opera Krakowska, Muzeum Armii Krajowej czy Kino Kijów.

Na pomoc misjom

Na przestrzeni lat kolejne edycje „Ciacha” wsparły finansowo Dom św. Marcina de Porres w Fastowie na Ukrainie, w którym otacza się opieką bezdomne dzieci. W 2014 roku zbierano na pomoc siostrzom Dominikankom planującym wybudowanie szkoły w Kamerunie. Z kolei w 2018 roku celem kiermaszu było zebranie funduszy na fundację Szymona Hołowni „Dobra fabryka”. Celem zbiórki było mleko terapeutyczne dla ośrodka



dożywiania dzieci w Kongo. Wtedy też padła rekordowa kwota ponad stu tysięcy złotych zebranych dla potrzebujących dzieci w Afryce.

Na co dzień członkowie „Szpuntu” angażują się w przeróżne akcje, takie jak na przykład Światowy Dzień Ubogich, pomoc osobom starszym oraz potrzebującym chociażby wsparcia w nauce czy codziennych pracach domowych. Członkowie Duszpasterstwa Akademickiego „Beczka” doskonale wiedzą, że czynienie dobra z myślą o drugim człowieku to najlepsza droga, by uczynić świat lepszym. Z tego względu, już po raz szesnasty Szpuntowicze organizują kolejną edycję akcji „Ciacho za ciacho”, która odbędzie się 15 grudnia 2019 roku w kręzątkach klasztoru Dominikanów, a zebrane środki zostaną przeznaczone na stowarzyszenie siostry Anny Bałchan „Po MOC”.

Paulina Małota



Triathlonowy mistrz z odzysku,



czyli historia o zwycięzcy, który pokonał nie tylko dystans, ale i samego siebie.

– Miałem wtedy jakieś 15 lat. Nie bardzo mi się chciało uczyć, wychowywało mnie podwórko – wspomina w jednym z wywiadów o początkach uzależnienia od narkotyków Jerzy Górski. Mężczyzna do tego stopnia był uzależniony od środków psychoaktywnych, że gdyby nie przerwy w zażywaniu spowodowane przebywaniem w aresztach śledczych, między innymi za napaści, umarłby po roku brania.

Oszukiwałem samego siebie

Tym, co narkomana bez żadnych rokowań pchnęło do zmiany, był pobyt w Monarze. – Wcześniej siedem razy trafiałem na oddział dla uzależnionych w Szpitalu Psychiatrycznym w Lubiążu. Ale oszukiwałem sam siebie, że chcę się leczyć. Tak naprawdę jednak potrzebowałem tylko opinii o swoim stanie zdrowia, bo byłem zamykany na milicyjnym dołku oraz w zakładach karnych za włamanie do aptek po morfinę. W Monarze było tak, że w każdym momencie mogłem wyjść – opowiada. Jednak, pomimo trudności, Jerzy nie opuścił przedwcześnie ośrodka.

Byłem najwolniejszy

Trafił tam w 1964 roku, na skraju wyczerpania sił fizycznych i po próbie samobójczej. W Monarze panował rygor, a jednym ze zwyczajów tam panujących było codzienne bieganie. Na samym początku Jerzy nie był w stanie przebiec kilkuset metrów, frustrował go fakt, że „nawet dziewczyny” były szybsze.

– Jeszcze w Monarze na własną rękę rozpocząłem treningi biegowe i triathlonowe. Poza bieganiem jeździłem na rowerze i pływałem. Już po roku terapii i uprawiania sportu ukończyłem swój pierwszy maraton. Zrobiłem to w czasie 3:56'. To doskonały wynik, zwłaszcza jak na osobę wcześniej uzależnioną od narkotyków, papierosów i alkoholu. Po opuszczeniu wrocławskiego Monaru zamieszkałem w Głogowie. Tam rozpocząłem jeszcze ostrzejsze treningi w klubie Chrobry Głogów.

A potem były mistrzostwa

W roku 1990 Jerzy Górski zajmuje pierwsze miejsce w Double Ironman Triathlonie w Huntsville (7,6 km pływania, 360 km jazdy na rowerze, 84 km biegu) z czasem 24:47:46, który był wówczas najlepszym czasem w Europie i drugim najlepszym na świecie. Aby ukończyć tzw. „bieg śmierci” wyciął dziury w butach. Stać go było tylko na buty z przeceny, kupione w Niemczech. Miały to do siebie, że jeden z nich był trochę większy od drugiego.

Jerzy Górski – polski triathlonista, mistrz świata w podwójnym Ironmanie z 3 września 1990 r.

Fot. Wikimedia Commons / Ralf Lotys (Sicherlich)

Jednak tu wyboje na drodze sportowca nie kończyły się. Kolejną przeszkodą był poważny wypadek spowodowany zderzeniem roweru z autem, po którym walczył z urazami takimi jak złamane: szczeka, bark, łopatką, obojczyk, przetłuczone ręce i obrzęk mózgu. Skutki niektórych urazów odczuwa do dzisiaj. Mimo to w 1995 roku Górski jako pierwszy Polak zakwalifikował się do Ultramana, czyli triathlonowych mistrzostw świata na Hawajach. A co ważniejsze – dał radę go ukończyć.

W stronę marzeń

– Najgorsze, co można zrobić, to samemu wpuścić się w kanał narzekania. Tego nie mogę, tamtego nie dam rady. Po co? Wtedy zaczyna się przegrywać. To nie jest tak, że zawsze jestem silny, czasem jestem też słaby. Ale nie chcę tej słabości w sobie pielęgnować, robię wszystko, by iść do przodu.

– Czasem ktoś mówi: „Marzę, żeby polecieć na Księżyc”. I tak sobie marzy przez 20 lat. Pytam go więc: „A co zrobisz, żeby polecieć?”. No nic. Tak sobie można marzyć do końca świata. A przecież loty w kosmos są możliwe. Trzeba tylko poszukać pieniędzy i spróbować zrealizować swoje marzenie. I być szczęśliwym – przekonuje Jerzy.

Zawsze się znajdą dobrzy ludzie

Oczywiście na drodze triathlonisty stanęło wiele osób gotowych mu pomóc, do jednego z ciekawszych przypadków można zaliczyć milicjanta, który wcześniej kilka razy zamykał go w areszcie, a potem pomógł Jerzemu załatwić paszport na wyjazd do USA.

Obecnie 65-letni mężczyzna zajmuje się biznesem oraz zaraża swoją pasją innych. Pod jego patronatem biegać zaczęło wielu pacjentów po przeszczepach, więźniów, gwiazd filmu, a także seniorów, którzy od lat nie mieli kontaktu ze sportem.

Na podstawie jego życiorysu powstała książka biograficzna pod tytułem „Najlepszy. Gdy słabość staje się siłą” autorstwa Łukasza Grassa. 17 listopada 2017 roku miał swoją premierę także film fabularny „Najlepszy” w reżyserii Łukasza Palkowskiego, który polecam wszystkim odczuwającym brak motywacji.





Fundraiser

idealna praca dla studentów i uczniów?



Wokół tego sposobu zarobkowania młodzieży narosło wiele mitów. Słowo „fundraiser” pochodzi z języka angielskiego i określa człowieka zbierającego fundusze. Z kolei samo „fundraise” oznacza zbieranie funduszy.

Termin odnosi się do gromadzenia środków, najczęściej dla pozarządowych organizacji pożytku publicznego. Są to z reguły instytucje o zasięgu międzynarodowym. Działają na rzecz ochrony klimatu, np. Greenpeace, czy też pomocy dzieciom pochodzącym z trudnych środowisk – np. Stowarzyszenie SOS Wioski Dziecięce.

Kim jest fundraiser?

Fundraiser to osoba zatrudniona przez organizację. Oferta takiej pracy jest wprost skierowana do młodych ludzi. Tak naprawdę jedynym warunkiem, jaki stawia przyszły pracodawca, jest skończony 18 rok życia bądź 16 – w przypadku pisemnej zgody prawnego opiekuna. Do zadań fundraiseera należy rozmowa z potencjalnymi darczyńcami oraz ich pozyskiwanie. Zwykle odbywa się to na ulicach dużych miast, tj. na przystankach autobusowych, placach, skwerach, parkach czy przy wyjściu z galerii handlowych – czyli w szeroko rozumianej przestrzeni publicznej. Takiej pracy nie należy mylić z wolontariatem. To drugie pojęcie odnosi się do dobrowolnie nieodpłatnej działalności na rzecz różnych organizacji pożytku publicznego. Natomiast stanowisko fundraiseera powinniśmy traktować jako pełnoprawną formę zatrudnienia.

Jakie umiejętności należy posiadać, żeby podjąć taką pracę?

Przede wszystkim trzeba być otwartym na ludzi. Charakter, charyzma, czy jakkolwiek to nazwiemy, też odgrywa tu znaczącą rolę. Trzeba być niekiedy po prostu „przebojowym”. Odporność psychiczna również ma duże znaczenie. Pytając przypadkowe osoby na ulicy o możliwość wsparcia danej organizacji nieraz możemy spotkać się z niemiłą odpowiedzią. Odważyć także bym wskazał wśród cech niezbędnych. W końcu nie każdy z nas odważyłby się zagadywać przypadkowo napotkanych przechodniów, nie mówiąc już o rzeczowym argumentowaniu i tym samym przekonywaniu do wsparcia danej organizacji.

Jak wygląda praca pod chmurką?

Z pewnością nie jest to najłatwiejsza forma zarobkowania. Najczęstszą niedogodnością są warunki atmosferyczne. Żyjąc w strefie klimatu umiarkowanego, właściwie o każdej porze roku może nas spotkać zła pogoda. Letnie upały, jesienno-zimowe niskie temperatury, deszcz, śnieg, grad czy porywisty wiatr – powinniśmy się z tym liczyć. Na wypadek takich sytuacji pracodawcy przewidzieli peleryny przeciwdeszczowe. Natomiast w lecie, przy ekstremalnie wysokich temperaturach, fundraiserzy otrzymują butelki z wodą niegazowaną. Zmiana miejsca pracy na dogodniejsze lub nagła decyzja o zakończeniu akcji również się zdarzają – przy kiepskich warunkach atmosferycznych bezcelowe byłoby stanie z ulotkami na pustej ulicy.

Jak ustalany jest czas pracy?

W tej kwestii panuje spora dowolność. Grafik ustalany jest najczęściej na jeden lub dwa tygodnie wprzód. Godziny podobnie. Najczęściej ramy czasowe, w których możemy ustalać swoje zmiany, mieszczą się między 11 a 17. Mniej liberalne podejście



funkcjonuje w przypadku miesięcznych „norm”. Naturalne jest, że w interesie pracodawcy jest to, żeby jeden pracownik przepracował w miesiącu jak największą liczbę godzin. Dzięki temu nie musi on dogadywać się z większą liczbą pracowników. Z reguły minimalna liczba godzin do przepracowania w tygodniu wynosi 15. Spotkać się też można z systemem, w którym pracownik zobligowany jest przepracować w tygodniu minimum 3 dni robocze, przy czym jeden taki dzień liczony jest jako 5-6 godzin. W przypadku mniejszej liczby przepracowanych godzin czy dni przysługuje niższa stawka godzinowa.

Ile można zarobić i na jakich warunkach?

Skoro jesteśmy już przy stawce godzinowej, warto trochę wspomnieć o kwestii finansowej. Jak mówi stare porzekadło: „Jaka praca, taka płaca”. Nie inaczej jest w tym przypadku. Wszystko właściwie zależy od naszego zaangażowania oraz przepracowanego czasu. Jak już wspominałem, w niektórych przypadkach po przekroczeniu pewnego pułapu przysługuje nam wyższa stawka godzinowa. W takiej sytuacji mówimy nawet o 22 zł brutto, a nie 16 zł (Stowarzyszenie SOS Wioski Dziecięce). Jest to niejako premia od pracodawcy. Osobną sprawą staje się natomiast prowizja, czyli premia za skuteczność. Tego typu organizacje non-profit, żeby zachęcić do bardziej efektywnej pracy, oferują dodatkowe kwoty od każdego poprawnie wypełnionego przez darczyńcę wniosku, przy czym nie da się wskazać, jaka konkretnie kwota przysługuje za jeden wniosek. Każda organizacja ma własne stawki. Bonusy za polecenie swoich znajomych to również okazja do podwyższenia swojej pensji. Dodatkowo może to być nawet do 800 zł brutto.

Jak prezentują się najczęstsze widełki płacowe? Trudno stwierdzić. Jest to bowiem praca z bardzo elastycznym grafikiem. Szkolenie trwa około tygodnia i jest traktowane jak czas pracy, otrzymujemy wtedy tzw. stawkę startową – zazwyczaj 12-13 zł netto za godzinę. Z kolei co do standardowej stawki, według zapowiedzi jest to od ok. 18 do 40 zł brutto (w przypadku Greenpeace). Oczywiście wpływ na to ma wiele czynników.

To nie jest zbieranie pieniędzy do puszek

Choćby z tego względu praca fundaisera nie należy do łatwych. Wychodząc na miasto dostajemy plakietki z naszym imieniem, tzw. planszę pomocniczą do prezentacji historii organizacji, sposobu działalności i jej celów statutowych oraz ulotki do wręczania przechodniom. Na standardowe wyposażenie składa się też przekładana przez głowę kamizelka z logo organizacji, a niekiedy bawełniane koszulki, które zdecydowanie sprawdzają się w upały.

Do zadań fundaisera nie należy zbieranie gotówki. Mają oni tylko pozyskiwać regularnych darczyńców. Jak się to odbywa? Człowiek deklarujący chęć wpłaty otrzymuje do wypełnienia wniosek. Jest to comiesięczne polecenie przelewu na konto organizacji, zawierające dane osobiste oraz numer konta,

z którego ma być co miesiąc zlecany przelew. Po pewnym czasie do darczyńcy wykonywany jest telefon oraz wysyłany e-mail w celu ostatecznego potwierdzenia, bowiem nawet w przypadku braku odpowiedzi ze strony wnioskodawcy organizacja nie będzie otrzymywać środków z wskazanego konta.

Oczywiście takie organizacje można też wesprzeć jednorazowo dowolną kwotą, jednak w takim przypadku fundraiserowi nie przysługuje prowizja. Tę nagrodę dostaje tylko pod warunkiem, że dane na formularzu zostały w pełni i poprawnie wypełnione oraz gdy wniosek zostanie potwierdzony po telefonicznej weryfikacji. A skąd wiadomo, któremu konkretnie pracownikowi przysługuje premia za danego darczyńcę? Każdy fundraiser ma własny kod identyfikacyjny, który nanoszony jest na formularz.



Czym zajmują się takie organizacje?

Ogłoszenia dotyczące pracy w charakterze fundaisera dostępne są na jednym z najpopularniejszych portali ogłoszeniowych w Polsce, zatem nietrudno jest znaleźć takie oferty. Obecnie w naszym kraju funkcjonują dwie organizacje zatrudniające w ten sposób młode osoby: proekologiczny Greenpeace oraz Stowarzyszenie SOS Wioski Dziecięce. Pierwsza z nich została założona w 1971 roku, kiedy grupa aktywistów protestowała przeciwko próbom nuklearnym przeprowadzanym przez rząd Stanów Zjednoczonych u wybrzeży Alaski. Głównym celem Greenpeace jest m.in. zwracanie uwagi opinii publicznej na istotne problemy ekologiczne. Działa w ponad 55 krajach świata. Z kolei Stowarzyszenie SOS Wioski Dziecięce pomaga dzieciom opuszczonym, sierocnym oraz zagrożonym utratą opieki rodziców. Organizuje różnorodne formy pomocy dzieciom, aby jak najlepiej przygotować je do dorosłego życia. Jest częścią międzynarodowej organizacji SOS Children's Villages, obecnej w 136 krajach świata od 70 lat. Pierwsza SOS Wioska Dziecięca powstała w 1949 roku w Austrii. Została założona przez Hermanna Gmeinaera dla dzieci sierocnych podczas II wojny światowej. Zgodnie z ideą założyciela, opieka w SOS Wioskach Dziecięcych ma charakter rodzinny. W ramach opieki zastępczej funkcjonują SOS Wioski Dziecięce, Programy dla Młodzieży i Rodzinne Domy Czasowego Pobytu. W ramach działań profilaktycznych prowadzony jest program Umacniania Rodziny. W Polsce funkcjonują obecnie 4 takie osiedla – Wioski Dziecięce: w Biłgoraju, Kraśniku, Siedlcach i Karlinie.

Obrazki, które podbiły świat

Krótki przewodnik po świecie komiksu

Znamy je i lubimy. Zanim komiksy przybrały formę, w jakiej znamy je obecnie, przechodziły wiele transformacji. Ktoś powie, że ich początków powinniśmy szukać nawet 40 tys. lat temu wśród malunków naskalnych. Oczywiście, ani wtedy, ani teraz, nikt ich komiksami nie nazywał, ale były niewątpliwie pierwszymi historiami obrazkowymi. Za przodka komiksu uznaje się Kolumnę Trajana z II wieku. To pomnik liczący prawie 40 metrów wysokości, na którym za pomocą rysunków upamiętniono zwycięstwa rzymskiego cesarza Trajana.

Humorystyczne obrazki

Bodaj najbardziej znanym z komiksowych gatunków są japońskie mangi. Ich początki toną w mrokach niepamięci. Trudno wskazać datę lub dzieło dające początek zjawisku. Samego określenia po raz pierwszy użył w swoim albumie rysunków XIX-wieczny artysta o nazwisku Hokusai. „Manga”, dawniej pisana z japońska „Manggha” znaczy tyle, co „humorystyczne obrazki”, tym właśnie kiedyś była.

W japońskich komiksach wiek odbiorcy sugeruje gatunek. Najpopularniejszym jest shounen, w którym główny bohater ma określony cel – zazwyczaj chce się stać najsilniejszy – a sama fabuła skupia się wokół walk. Shounen to tyle, co „młody chłopiec” i do grupy nastoletnich męskich czytelników adresowany jest ten rodzaj komiksu. Równie lubianym gatunkiem jest shoujo – „młoda dziewczyna”. Tutaj główna bohaterka przeżywa swoją pierwszą miłość, ma problemy w szkole. Łatwo się domyślić, że te komiksy najchętniej czytają nastolatki.

Wielu zaskoczy, że mangi czyta się od prawej do lewej strony kartki, a także od tylnej do przedniej okładki. Ponadto komiksy te charakteryzują specyficzne cechy rysunków postaci, chociażby duże oczy, wpisane w kadr liczne wyrazy dźwiękonaśladowcze, np. „bam”, „wrr” czy „szur” oraz bardzo wyraźnie zarysowana mimika bohaterów.

Wśród komiksowych serii za najlepsze uznaje się m.in. psychologiczny kryminał „Death Note” czy należący do gatunku fantasy „Fullmetal Alchemist”. Oba te tytuły doczekały się własnych animacji, które są wysoko cenione przez krytyków.



Dodatkowo są zdecydowanie krótsze niż wiele popularnych mang, które czasami liczą kilkadziesiąt tomów.

Superbohaterowie z problemami

Amerykańskie komiksy w obecnie znanej nam formie pojawiły się pod koniec XIX wieku. Prekursorem była seria „The Yellow Kid” („Żółty Bobas”), drukowana w postaci kilkukadrowych opowieści na łamach amerykańskiej prasy opowieść o wybrykach kilkuletniego chłopca występującego zawsze w charakterystycznej żółtej koszuli nocnej.

Komiksy czytają ludzie w różnym wieku, dlatego dla poszczególnych grup wiekowych tworzone są rozmaite gatunki oraz kategorie wiekowe, takie jak „T” (od angielskiego teenager, czyli nastolatek) oraz R (restricted, co dosłownie znaczy ograniczony), adresowany do pełnoletnich czytelników.

Komiksy, szczególnie te wydawnictwa DC Comics dzielą swoją historię na cztery ery: Złotą, Srebrną, Brązową i Mroczną, nazywana też Współczesną. Podział ten jest umowny i bardzo elastyczny, chociaż każda z tych er charakteryzuje się innym stylem rysowania oraz przede wszystkim historią, jaką opowiada. W Złotej erze najstarsze postacie dopiero debiutowały, a historie, które w latach 30. i 40. były zaskakujące, obecnie okazałyby się bardzo przewidywalne. Styl rysowania z tamtych czasów stał się modny i dzisiaj często znajdziemy koszulki z nadrukami nawiązującymi do postaci, które zostały stworzone w tej epoce. To wówczas w popkulturze pojawili się Batman, Superman czy Kapitan Ameryka. W latach 50.-60., czyli w okresie nazwanym Srebrną erą, stworzono wiele nowych postaci, m.in. kapitana Marvela czy fantastyczną czwórkę. Wówczas pojawił się pomysł, by komiksy cenzurować. Nawoływał do tego Fredric Wertham w książce „Seduction of the Innocent”, co można przetłumaczyć na „Zwodzenie niewinnych”. Głosił w niej, że komiksy mają negatywny wpływ na młodzież. Przez



kolejne 20 lat trwała Brązowa era. Wówczas komiks nieco „wydoroślał”, autorzy rysunkowych książek zaczęli podejmować tematykę społeczną. Komiksy pokazywały świat bez osłon – zauważyły alkoholizm czy problemy z uzależnieniem od narkotyków. Jedną ze sztandarowych postaci tego okresu, Iron Man, był uzależniony od alkoholu. Komiksy zaczęto więc czytać wielu dorosłych. Postacie utraciły nimb nadludzi, stały się podobne do nas, zwykłych ludzi, którzy często nie radzimy sobie z problemami.

W przeciwieństwie do mang wiodące wydawnictwa komiksowe, takie jak DC Comics i Marvel Comics, wykreowały własne światy, w których osadzają akcję swoich komiksów, dzięki czemu bohaterowie łączą się w drużyny, zawierają przyjaźnie, co w praktyce przekłada się na więcej różnych tytułów. Klasykami wśród komiksów, nie tylko o superbohaterach, są „Strażnicy” Alana Moore’a, cykl „Hellboy”, „Sandman” Neila Gaimana czy belgijski „Thorgal” z ilustracjami polskiego rysownika Grzegorza Rosińskiego.

Jak powstaje komiks?

Jeśli chcemy stworzyć komiks, czy to mangę, czy „amerykański”, najpierw potrzebujemy historii, dużej ilości papieru, czasu i cierpliwości. Jednak proces powstawania dzieła jest różnorodny. Komiks japoński ma charakter autorski. Mangacy, bo tak nazywa się twórców mang, zazwyczaj sami zajmują się wszystkim. Do pomocy mają jedynie grupkę korektorów i doradców. W USA praca nad przygotowaniem komiksu jest rozłożona na wiele osób.

Gdy mamy historię, potrzebujemy rozplanować ją na kadry. Przy pracy nad mangą zazwyczaj zajmuje się tym ta sama osoba, która tworzy historię, zaś w tworzeniu amerykańskich komiksów robi to ktoś zupełnie inny. Po bardzo schematycznych szkicach i rozplanowaniu historii można rysować bardziej szczegółowo, skupiać się na detalach. Artyści czasami rysują na tabletach graficznych, czasami po prostu wkładają kartki z rysunkami do skanera.

Kolejnym krokiem jest kolorowanie. Mangi często pozostają czarno-białe, ważną rolę odgrywa w nich cieniowanie, w przeciwieństwie do komiksów z Zachodu, gdzie kolorysta, czasami zwany inkerem, zajmuje się nadawaniem kolorów. Gama barw użyta w tomie ma ogromne znaczenie, ponieważ nadaje komiksowi charakter.

Ważnym elementem jest lineart, czyli poprawianie linii na szkicach. Wielu artystów robi to na tabletach, jednak są i tacy, którzy wszystko robią na kartce, specjalnym piórem lub cienkopisem. Po wszystkim nadchodzi czas na umieszczanie dymków z tekstem oraz ewentualne poprawki.

Polskie arcydzieła

Również Polska ma swoją tradycję komiksu. Prekursorem polskiego komiksu były wydawane w latach 30. XX wieku książeczki o przygodach Koziołka Matołka czy Małpki Fiki-Miki, które przebojem wdarły się do kanonu naszej literatury dla dzieci.

W latach 60. wielkim hitem był „Kajtek i Koko w kosmosie” Janusza Christy. Ten sam autor stworzył nieco później niezwykle popularną serię rysunkowych opowieści o słowiańskich wojach Kajku i Kokoszu, którzy z usposobienia, postury i zamiłowania do walki z wrogiem przypominali francuskich Galów Asteriksa i Obeliksa. Najpopularniejszym polskim komiksem jest zdecydowanie „Tytus, Romek i A'Tomek” autorstwa Papcia Chmiela, czyli Henryka Jerzego Chmielewskiego. Głównego małego bohatera rozpoznają chyba wszyscy. Dziś na archiwalne zeszyty opowiadające o harcerskiej trójce poluje wielu kolekcjonerów. Pierwsze wydania osiągnęły niezwykle wysokie ceny. Jeszcze w czasach, gdy wychodziły nowe numery, fani w każdym wieku z utęsknieniem szukali najnowszych przygód sławnego trio i w koszmarnie długich kolejkach czekali na możliwość kupna książki.

Starszy czytelnik z pewnością słyszał o Kapitanie Żbiku, komiksie propagandowym, ale uwielbianym przez czytelników, i komiksowej adaptacji historii o Wiedźminie. Nasze komiksy charakteryzuje oryginalność. Autorzy zazwyczaj sami wymyślają postacie, budują świat od podstaw. Współcześnie w oczy rzuca się również styl rysowania, tak inny od tego, jaki znajdziemy w mangach i zachodnich historiach obrazkowych. Znakomitym przykładem oryginalności współczesnych polskich komiksów są dzieła Jakuba Dębskiego, bardziej znanego jako Dem. Jego rysunki są bardzo schematyczne, oszczędne, minimalistyczne. Można wręcz powiedzieć, że to „patyczaki”. A jednak cieszą się popularnością, zapewne ze względu na czarny humor i prezentację poważnych treści. W podobnym stylu utrzymany jest „Pan Żarówka” Wojtka Wawszyka z ubiegłego roku, gdzie poważna treść kontrastuje z oszczędnymi rysunkami. O stylu polskich najnowszych komiksów z pewnością można powiedzieć, że zakłada pierwszeństwo treści nad formą, którą z pozoru możnaby określić jako niedbałą.

Na każdym rogu Batman

Gdy na ulicy zapytamy przypadkowego przechodnia o to, kim jest Superman, Batman, Iron Man czy Spider-Man, z pewnością odpowie: „Postać z komiksów, superbohater”. Nie będzie się mylił. Obecnie imiona te są tak znane, że słyszał o nich praktycznie każdy. Ich wizerunki widnieją na koszulkach, plecakach, są sprzedawane jako lalki czy klocki LEGO. Postacie z komiksów Marvela doczekały się własnego uniwersum filmowego, a superbohaterskie produkcje kinowe obecnie są jednymi z przynoszących największy zysk. Na nowych Avengers czekali nie tylko fani komiksów, ale również ludzie, którzy o drużynie superbohaterów nawet nie słyszeli.

Zmieniło się też podejście do fanów komiksów, od których skutecznie odklejono łatkę infantylnych. Wszak komiks podejmuje poważną tematykę. Miłośnicy komiksów organizują eventy, na których się spotykają, kupują premierowe wydania i dyskutują. W Internecie wciąż wyrastają nowe grupy oraz strony, gdzie zakręcenie tą dziedziną sztuki wymieniają się poglądami i teoriami. Dużo mniej ludzi uważa, że po komiksy sięgają wyłącznie dzieci lub ludzie niedojrzali.



Kręcić się w kółko, czyli Trzecia Trylogia Gwiezdnych Wojen

Artykuł zawiera spoilery ze wszystkich dotychczasowych części sagi

Do sieci trafił niedawno finalny zwiastun „Skywalker. Odrodzenie”, IX epizodu kosmicznej sagi. Ze smutkiem stwierdzam, że jest on mi absolutnie obojętny, bo po tym wszystkim, co zobaczyłem i zniosłem jako fan Star Warsów, nie została już we mnie ani isierka nadziei na to, że nowy film będzie godną częścią uniwersum.

Nie twierdzę, że będzie to kinematograficzna porażka. To może być całkiem dobry film: porządnie zagrany, posiadający świetne efekty, ze wspaniałą muzyką Johna Williamsa. Ale IX epizod Gwiezdnych Wojen? Dobrze sobie.

Disney nie rozumie tego świata

Disney, który kupił prawa do kosmicznej sagi od Georga Lucasa, nie rozumie Gwiezdnych Wojen. Nigdy nie miał na nie ani planu, ani pomysłu. Od początku chodziło wyłącznie o pieniądze – normalna rzecz w popkulturze i nie byłoby to nic złego, gdyby dostarczone nam produkty były dobre. A choć zarówno „Przebudzenie Mocy” i „Ostatni Jedi” to dobre filmy, to razem składają się na dwa, iście koszmarnie epizody gwiazdnej sagi.

Zacznijmy jednak od początku, czyli „The Force Awakens”. Film w reżyserii J.J. Abramsa jest bardzo ostrożny w swojej konstrukcji i założeniach. Scenariusz jest od pewnego momentu bliźniaczo wręcz podobny do „Nowej Nadziei”: znowu mamy Gwiazdę Śmierci, tyle że większą, akcję odbicia uwięzionej na niej osoby, rozpaczliwy szturm X-Wingów na rdzeń. Sama konstrukcja świata przedstawionego również jest identyczna z oryginalną trylogią – mamy Rebelię i Imperium – teraz nazywane odpowiednio Ruchem Oporu i Nowym Porządkiem. Dawniej „złymi” rządził tajemniczy człowiek w czarnych szatach, teraz rządzi tajemniczy prawie-człowiek w złotych szatach...

Odczuwalny jest brak konsekwencji względem wydarzeń przedstawionych w „Powrocie Jedi”. Co z tego, że Imperium zostało pokonane, skoro jego miejsce zajął Nowy Porządek? Cóż z wynika faktu, że wysadzono drugą Gwiazdę Śmierci, skoro Nowy Porządek zbudował Bazę Starkiller? Czy Rebelianci rzeczywiście cokolwiek wygrali, skoro minęło trzydzieści lat, a Leia dalej zarządza słabo uzbrojoną grupką obszarpańców,

walczącą z nowym Imperium, które od starego różni się wyłącznie nazwą i przywódcą? No i gdzie był ten „Powrót Jedi”, skoro jedyny Jedi w całej galaktyce zaszył się nie wiadomo gdzie i nie wiadomo po co?

Bez autorskiej wizji

Z pewnością znajdą się osoby, które wskażą mi, że Rebelianci coś wygrali: wszak dzięki nim udało się stworzyć Nową Republikę. Tak. Tę samą Republikę, która widoczna jest w filmie przez około trzy sekundy, tuż przed tym zanim zniszczy ją strzał z bazy Starkiller. Podobnie sytuacja ma się z zakonem Jedi – niby został odbudowany, ale upadł, zanim zaczęła się akcja filmu.

Problem z „The Force Awakens” jest taki, że historia w nim przedstawiona zatacza koło. Po prostu wraca do punktu wyjścia z oryginalnej trylogii, nie mając dość odwagi, aby zaprezentować jakąkolwiek autorską wizję.

Co więcej, nie mogę się pozbyć paskudnego wrażenia, że prequel „Przebudzenia Mocy” byłby dużo ciekawszym filmem. Który z fanów nie chciałby zobaczyć kształtowania się Nowej Republiki czy też szkolenia młodego pokolenia Jedi przez Luke’a? Kto w końcu nie chciałby odkryć genezy Snoke’a, rycerzy Ren, zobaczyć jak Kylo przechodzi na ciemną stronę i konfrontuje się z Lukiem?

Zmarnowany potencjał

Sam koncept filmu jest więc w mojej opinii zdecydowanie zmarnowanym potencjałem. Ale film ma też zalety, które po części rekompensują wady. Otrzymaliśmy świetnych, nowych bohaterów i intrygującego, niestabilnego antagonistę szaleńca. Klimat przygody i tajemnicy aż wylewa się z ekranu. Rey jest charyzmatyczna, śmierć Hana szokująca, a zakończenie zwiastuje nową, wielką przygodę. Wszak Luke Skywalker został odnaleziony.

Prawdopodobnie Disney chciał zacząć bezpiecznie, mieć pewność, że da ludziom to, co kochają w Star Wars. Przygodę, tajemnicę, konflikt rebelii i imperium. A że to trochę odgrzewany kotlet? Może i tak, ale mistrz kuchni już szykuje drugie danie...

Jednak zaserwowany przez Riana Johnsona „Ostatni Jedni” okazał się absolutnie niestrawny. Reżyser stworzył bowiem film niezwykle specyficzny, równocześnie odważny i tchórzliwy.



Dekonstruujący mity Gwiezdných Wojen i równocześnie rozpaczliwie się ich trzymający.

Tam, gdzie Abrams zbudował potencjał – Rian bezlitośnie burzył. Wątek rycerzy Ren został całkowicie zignorowany. Snoke? Zabity bez jakichkolwiek wyjaśnień. Czym lub kim był? Po dwóch filmach trylogii wciąż nie wiadomo. Rey, Poe i Finn? Owszem, pojawiają się w „Ostatnim Jedi”. Ale każda z tych postaci wypada co najwyżej blado. Poe jest bezbarwny przy Lei, wątek Finna jest zwyczajnie niepotrzebny, a Daisy Ridley choć jest dobrą aktorką, nie ma najmniejszych szans w starciu z Markiem Hamillem. Zresztą wszystkie pojawiające się w filmie wątki nie wytrzymują porównania ze skrytym na Ahch-To mistrzem Jedi.

Luke podmieniony

Warto nadmienić, że Luke Skywalker kradnie każdą scenę, w jakiej się pojawia. Jest magnetyczny, tajemniczy, wspaniale zagrany. A przy tym wszystkim... absolutnie nie jest Lukiem. To zupełnie inna postać. Wielokrotnie wypowiadał się o tym zgorzkniały Hamill, który z najwyższą klasą grał, co mu kazano, ale wiedział, że gra już kogoś zupełnie innego. Znów boli brak jakiegokolwiek łączności z „Powrotem Jedi”. Mam uwierzyć, że Skywalker, który nie był w stanie zabić Dartha Vadera, jednego z najstraszliwszych morderców galaktyki, bez zastanowienia odpala miecz nad śpiącym bratankiem? Że Luke, który w V epizodzie popędził ratować przyjaciół, mimo, iż wiedział, że leci niemal na pewną śmierć, teraz zaszył się na Ahch-To, ponieważ zawiódł? Że zignorował toczącą się wojnę i niebezpieczeństwo, w jakim pozostawił Leię i Hana?

Pastwienie się nad tym, jak dziurawy to wątek, niech podsumuje fakt, że Skywalker nie chciał zostać kiedykolwiek odnalezionym... dlatego zostawił mapę wiodącą do swojej kryjówki, której bohaterowie szukali przez cały epizod VII.

Nie jest jednak tak, że „Ostatni Jedi” wszystko robi źle. Z pewnością wspaniale podbudowuje postać Kylo Rena, tworząc z niego jeszcze ciekawszego antagonistę. Symbolem jego wewnętrznej przemiany jest zniszczenie maski. Nie boi się już pokazać twarzy. Podejmuje własne, nieraz zaskakujące decyzje. Zabija Snoke'a, manipuluje Rey, przejmuje władzę.

Sama Rey jest coraz bardziej kuszona przez ciemną stronę – dostrzega błędy Jedi i samego Luke'a. Zaczyna rozumieć Kylo i współczuć mu. Wie, że część prawdy stoi po jego stronie.

Rian Johnson dał więc widzom dokładne przeciwieństwo tego, czego się spodziewali. Skywalker nie jest wybawicielem galaktyki, a zgorzkniałym starcem. Snoke nie jest potężnym arcywrogiem – a jedynie anonimową ofiarą Kylo Rena. Kylo zaś to nie emocjonalnie niestabilny szaleniec, ale pełen zimnego gniewu antagonistą o zrozumiałych motywacjach. Rey nie będzie nowym Jedi – Luke nie chce jej szkolić.

Postacie jak dzieci we mgle

A potem wszystko wraca na stare tory. Rey odrzuca propozycje Kylo i pozbywa się wszelkich wątpliwości. Sam Kylo znowu przestaje nad sobą panować i na powrót staje się złem wcielonym. Lukowi ukazuje się Yoda i namawia go do ponownego

podjęcia walki. Finalnie więc całą dekonstrukcję szlag bierze. Bo Skywalker zostaje wybawicielem galaktyki, wcześniej namaszczeni Rey na Jedi.

Co gorsza film nawet nie buduje potencjału na przyszłość – kończy go śmierć Luke'a. Najciekawsza postać całego filmu, centralna persona Star Wars umiera z wyczerpania na Ahch-To, po tym jak ocala resztki Ruchu Oporu. Ruchu Oporu, który został zdziśiátkowany przez jego opieszałość. Marne to odkupienie i marny koniec wielkiej postaci.

Wszystkie nowe postaci drepczą przez cały czas w miejscu. Zdają się nawet nie być bohaterami tego filmu. Nierozważne działania Rose, Finna i Poe tylko pogarszają sprawę. Wymienieni protagoniści są tak niekompetentni, że wyrządzają Ruchowi Oporu więcej szkód, niż wszyscy antagoniści razem wzięci. Ich obrzydliwa nieudolność nie byłaby może złym rozwiązaniem fabularnym, gdyby spotkała się z jakimiś fabularnymi konsekwencjami. Ale nie – scenariusz uparcie to ignoruje.

Ostatecznie więc, „Ostatni Jedi” nie rozwinął w satysfakcjonujący sposób żadnego z wątków prezentowanych w „Przebudzeniu Mocy”. Nie dodał rysu i charakteru postaciom (poza Kylo), nie pogłębił przeszłej historii, nie nakreślił nowej sytuacji. Zmarnował potencjał zarówno Luke'a wybawiciela, jak i Luke'a pustelnika. Poszedł w nowe, aby zaraz zawrócić do starego.

Fanom brak nadziei

A teraz nadchodzi „Skywalker. Odrodzenie”. Film, w którym Kylo ponownie nosi maskę, co niszczy całą symbolikę uwalniania się od niej przez poprzedni epizod. Film, w którym głównym antagonistą ma być, jak wynika ze zwiastunów, Imperator, zabity w „Powrocie Jedi”. Film, w którym głównymi protagonistami będą Rey, Poe i Finn, czyli postacie, które były w jakikolwiek sposób budowane tylko w „Przebudzeniu Mocy”. Film, w którym powrócą Rycerze Ren, o których mało już kto pamięta. Film, w którym Ruch Oporu znowu posiada wielką flotę, mimo że Nowy Porządek zdziśiátkował go w „Ostatnim Jedi”. Film, wieńczący historię Skywalkerów... bez Skywalkera.

Nie wierzę, aby ktokolwiek miał kiedykolwiek spójny plan na te trzy epizody. Odnoszę wrażenie, że w procesie twórczym każdego filmu panowała dzika samowolka. Rian Johnson ewidentnie nie lubił „Przebudzenia Mocy”, a J.J. Abrams, który będzie reżyserem finalnej części, ewidentnie nie lubi „Ostatniego Jedi”.

Dostaniemy więc trylogię, w której drugi film ignoruje wątki z pierwszego, trzeci zaś ma w głębokim poważaniu drugi. Trylogię niespójną, która ani nie zbudowała własnych bohaterów, ani nie wykorzystała potencjału starych. Trylogię, która nie pokazała nic nowego, bezlitośnie małpując schemat Imperium-Rebelia, Jedi-Sithowie, bezczelnie zmieniając jedynie nazwy. Może to i czarnowidztwo, ale nie wierzę, żeby „Skywalker. Odrodzenie” mógł mnie usatysfakcjonować jako fana. Jak może być to wielki finał i satysfakcjonujący kres, skoro nie prowadziły do niego właściwe ścieżki? Dla mnie saga skończyła się na „Powrocie Jedi”.

Jakub Leśkiewicz



Główka pracuje... w Małopolsce

Nasz region należy do ściśtej czołówki innowacyjności.

W tym roku nasze województwo zajęło 2. miejsce w rankingu innowacyjności regionów „Indeks Millenium 2019”, ustępując jedynie Mazowszu. Nowe, zupełnie niestandardowe projekty, świetnie wyszkolone zaplecze akademickie to atuty, które plasują nas tak wysoko w rankingu. Tylko w tym roku w naszym regionie powstało kilka projektów, które wkrótce będą miały duży wpływ na nasze codzienne życie.

Aplikacja wskaże błędy

Innowatorzy z Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie z Wydziału Form Przemysłowych postanowili stawić czoło problemowi zaburzeń chodu. Dotykają one nie tylko osób starszych – każdy może być na nie narażony, tymczasem nieprawidłowa postawa ciała czy przeciążenie lewej bądź prawej strony mogą z czasem prowadzić do niepełnosprawności.

Autorzy innowacji zdecydowali się wykorzystać codzienną aktywność fizyczną i odrobinę fantazji do stworzenia wynalazku, który ma pomagać w codziennym funkcjonowaniu. Innotextil to specjalne legginsy oraz zsynchronizowana z nimi aplikacja. W szwach spodni umieszczone zostały mikroczujniki odpowiadające za wykrywanie sygnałów podczas wykonywania aktywności fizycznej, np. chodzenia. W momencie wykonania jakiegoś błędnego ruchu (np. niewłaściwego stąpania) czujniki wysyłają impuls. Zainstalowana na telefonie aplikacja za pomocą wykresów informuje użytkownika o błędach, dzięki czemu „posiadacz spodni” może korygować swoje kolejne ruchy.

Jeśli chodzi o grono użytkowników, to w zasadzie nie ma ograniczeń wiekowych. Spodnie mogą być użytkowane zarówno przez osoby cierpiące np. na zaburzenia ruchu, ale także przez ludzi zdrowych, którzy uprawiają aktywność fizyczną.

Autorami Innotextilu są Bożena Groborz – projektantka i adiunkt w Katedrze Przestrzeni i Barwy Wydziału Form Przemysłowych ASP, Katarzyna Król – projektantka ubioru i grafiki przemysłowej, Jacek Wesół – asystent w Katedrze Automatyzacji Procesów na Wydziale Inżynierii Mechanicznej i Robotyki AGH, Marek Kołodziejczyk – praktyk elektronik oraz Mateusz Patyk – programista systemów wbudowanych.

Z myślą o niepełnosprawnych

Innowacji realizowanych z myślą o osobach niepełnosprawnych jest w Małopolsce więcej. Osoby poruszające się na wózku inwalidzkim zapewne ucieszą się z Uniodzieży. To specjalna odzież doskonale chroniąca przed opadami atmosferycznymi, którą można włożyć bez konieczności uciekania się do pomocy osoby trzeciej. Uniodzież charakteryzuje się m.in. głębokim wysuniętym kapturem, zapewniającym dobrą widoczność, pelerynką chroniącą plecy przed dostaniem się wody pomiędzy oparcie wózka i plecy. Jest także zaopatrzona w elementy odbłaskowe, dzięki czemu osoba niepełnosprawna jest dobrze widoczna na drodze po zmroku.

Innowacyjny region

Oprócz Innotextilu i Uniodzieży tylko w tym roku w Małopolsce powstało kilka innych ciekawych projektów, które mają zostać wdrożone w najbliższym czasie. Jest to np. ścieżka moto-sensoryczna, czyli przestrzeń dla seniorów oraz osób niepełnosprawnych, na której mają znaleźć się specjalne sprzęty do ćwiczeń. Każde stanowisko ma posiadać dokładny opis z rysunkami, który przedstawia różne poziomy trudności wykonywania zadania. Ścieżka ma być wkomponowana w przestrzeń miejską, dopasowana do rzeźby terenu i przystosowana do pogody.



Szanse wdrożenia innowacji społecznych przeznaczonych dla osób niepełnosprawnych są coraz większe. W tym celu powstał projekt zwany Inkubatorem Dostępności. Realizuje go Regionalny Ośrodek Polityki Społecznej. Jego głównym zadaniem jest szybkie dostosowanie obszaru przestrzeni publicznej do potrzeb osób niepełnosprawnych.

Gdzie szukać wsparcia?

Narodowe Centrum Badań i Rozwoju ogłosiło konkurs „Szybka Ścieżka”. Do konkursu mogą przystąpić nie tylko małe, średnie i duże przedsiębiorstwa, ale również konsorcja przemysłowe i jednostki naukowe. Uczestnicy mogą zgłosić wnioski o dofinansowanie swoich innowacyjnych projektów, które dotyczą badań przemysłowych i eksperymentalnych prac rozwojowych. Tylko w zeszłym roku 370 małopolskich projektów otrzymało dofinansowanie, a na realizację przeznaczono sumę 552 milionów złotych.

Jednym ze „szczęściarzy”, którzy otrzymali środki finansowe na realizację projektu była firma Marcelli Adv Tech, która opracowała swoją technologię wytwarzania ogniw litowo-jonowych występujących m.in. w akumulatorach samochodowych i w autobusach elektrycznych. Ogniwa te można także wykorzystać do gromadzenia energii otrzymanej na farmach wiatrowych i fotowoltaicznych. Warto podkreślić, że zastosowana przez firmę technologia nie wykorzystuje toksycznego pierwiastka, kobaltu, zatem jest zdecydowanie bardziej przyjazna dla środowiska.

Dofinansowanie w ramach konkursu „Szybka Ścieżka” może sięgać aż do 80% wartości innowacyjnego projektu, jest zatem o co walczyć.

Mateusz Talaczyński

Kungsleden, szlak bezkresami Laponii

Środek lipca, a pod nogami skrzypi śnieg. Przerwa na przetęczy. Rozglądam się dookoła. Zarówno z lewej, jak i z prawej strony wysokie, skaliste szczyty. Spomiędzy nich wystają podłużne lodowce. Naprzeciw rozciąga się szeroka dolina, po której wędrują stada reniferów...



Fot. Wojciech Wiercigroch

Wraz z moją grupą znajdujemy się w Abisko – niewielkiej miejscowości położonej daleko za kołem podbiegunowym w szwedzkiej Laponii. To właśnie tu zaczyna się Kungsleden, czyli długodystansowy szlak wiodący po tutejszych górach. Z rana wyruszamy nim na siedmiodniowy trekking...

Obraz Gór Skandynawskich

Zaraz po wejściu na górskie tereny krajobraz zaczyna się znacząco zmieniać. Z gęstej tajgi przechodzimy w kompletnie od niej odmienne obszary tundrowe. Znikają ciemnozielone świerki, sosny, czy w ogóle jakiegokolwiek wysokie drzewa. Zastępują je niziutkie, karłowate brzozy, krzewy czy płożące się zarośla czerwonej borowiny. Co ważne, im wyżej, tym także mniej komarów. Te natrętne stworzenia, szeroko rozpowszechnione w tym regionie (szczególnie we wspomnianej tajdze) zostawiamy na szczęście za sobą.





→ Co najbardziej rzuca się w oczy? Przede wszystkim niesamowita przestrzeń. Za naszymi plecami rozpościera się widok na olbrzymie jezioro, przed nami po horyzont sięgają niezliczone górskie szczyty... Góry Skandynawskie to bardzo stare formy terenu, powstałe jeszcze w orogenezie kaledońskiej, ok. 490 mln lat temu. Można by zatem przypuszczać, że zmałyły do rozmiarów powstałych w tym samym czasie Gór Świętokrzyskich. Jednak, jak się okazuje, w odróżnieniu od nich, do dziś zachowały pokaźne rozmiary – wiele spośród ich szczytów mierzy ponad 2000 m n.p.m. Co ciekawe – oprócz próby czasu, góry te przetrwały również wszystkie trzy zlodowacenia obecne na tym obszarze. Ślady po działalności lodowców i lądolodu widać do dziś – wszechobecne są tu szerokie doliny u-kształtne, a wysokie masywy są nieco wygładzone.

Idąc szlakiem nietrudno również spostrzec, że jest tu niezwykle pusto. Dla mnie (jako przyzwyczajonego do dużego ruchu na polskich ścieżkach) wydaje się to dosyć dziwne. Mimo że Kungsleden jest jednym z najbardziej znanych szlaków w całej Skandynawii, pierwszego dnia wędrówki spotkaliśmy na nim ledwie kilka osób.

Schronisko – sauna

Późnym popołudniem docieramy do pierwszego ze schronisk na trasie. Na pierwszy rzut oka te lapońskie budowle nie różnią się niczym od tych w naszym kraju. Podobnej wielkości drewniane chatki, składające się z kwater, baru czy suszarni. Każdy z pokoiów dla gości wyposażony jest w osobny piecyk opalany drewnem, czyli tak jak często bywa również w Polsce. Jednakże, jako że Laponia jest specyficznym regionem, ma szczególne udogodnienia. Przechadzając się między zabudowaniami schroniska spostrzegam, że do pobliskiego jeziora (które nie mogło mieć więcej niż 5 stopni Celsjusza) wskakuje nagi facet. Zaraz potem człowiek ten, wyskoczywszy i okrywszy się ręcznikiem, wędruje szybciotko do pobliskiego budynku. Miejsce, do którego wszedł, okazało się sauną. Pomieszczenie wewnątrz wydawało się stosunkowo niewielkie, wyłożone deskami, z piecem na środku. Była to tzw. sauna sucha. By podnieść niską wilgotność, podczas seansów parowych na znajdujące się na piecu gorące kamienie wylewano wodę. Ten rodzaj sauny tutaj, na północy Europy, jest od dawna niezwykle rozpowszechniony. Do dziś cieszy się niezwykłą popularnością. Ludzie korzystają z tej usługi w celach zdrowotnych – pobyt w niej na zmianę z chłodną kąpielą (np. w lodowatym jeziorze) znacząco poprawia krążenie.

Po wizycie w saunie kładę się wreszcie spać. Leżąc w łóżku spoglądam w okno – mimo bardzo późnej pory na zewnątrz nadal nie jest ciemno. No tak – przypominam sobie – przecież jest lipiec, a znajdujemy się za kołem podbiegunowym.



Wyższe partie gór

Nazajutrz, ze względu na dłuższy odcinek do przebycia, wyruszamy wczesnym rankiem. Wychodzimy coraz wyżej, w otoczeniu dostrzegamy kolejne zmiany. Drzew nie ma już w ogóle, z roślin pozostają jedynie nieliczne wrzosi, kępki traw oraz mchy porastające szczeliny między wszechobecnymi skałami. Ze względu na trudność oznaczania szlaku tradycyjnymi metodami (tj. malowaniem znaków), trasę w wyższych partiach gór wyznaczają wysokie, czerwone badyle powbijane w solidne kamienne kopczyki.

W pewnym momencie natrafiamy na śnieg. Wraz z upływem czasu jest go coraz więcej – nie występuje już tylko w postaci nielicznych wysepek, lecz zdaje się pokrywać niemal całą okolicę. Temperatura nieustannie spada. Rozglądam się dookoła, z moich ust wydobywa się para. To, że jest lato, wydaje mi się nieco nieprawdopodobne. Zatrzymujemy się, by założyć raki i nieprzemakalne ochraniacze. Zbliżamy się do przełęczy Tjaktja. Trzeba bardzo uważać, by nie zboczyć ze szlaku. O ile jest on raczej dobrze ubity, to gdyby zeszło się nieco w bok, można by zapaść się niemal po pas w mokrym śniegu lub wpaść do płynącego pod nim lodowatego strumyka. Pierwszym, co



trudno tu o jakiegokolwiek pożywienie, przemieszczają się z powrotem na południe, w kierunku lasów. Zwierzęta te od wieków stanowiły podstawę funkcjonowania ludzi w tym regionie. Lapończycy (inaczej też Saamowie) do dziś wykorzystują je jako środek transportowy po trudnych do przebycia terenach – przy drogach często widuje się sanie zaprzęgnięte właśnie w renifery. Ponadto z ich skór szyje się buty, czapki i ubrania chroniące przed przenikającym do szpiku kości mrozem. Co ciekawe, Saamowie wierzą, że zwierzęta te przynoszą szczęście, więc im więcej ma się ich w posiadaniu, tym lepiej.



Fot. Wojciech Wiercigroch

robimy po przybyciu do następnego schroniska, jest wysuszenie przemoczonych ubrań...

Spotkanie z reniferami

Schodzimy z przełęczy Tjaktja. Przed nami rozpościera się szeroka polodowcowa dolina. W oddali dostrzegamy ruch jakiejś wielkiej ciemnej masy. Po chwili okazuje się, że jest to stado reniferów. Co ciekawe, zwierzęta wędrowały pod górę, wprost na nas. Z każdym momentem stopniowo się do siebie zbliżamy. Idziemy pod wiatr, zatem nie mogą nas w żaden sposób wyczuć. Jesteśmy już bardzo blisko. Zatrzymujemy się za skałami, by biegnące stado nas nieopatrnie nie stratoowało. Renifery dostrzegają nas w ostatniej chwili, mijają nas w odległości zaledwie kilku metrów i spieszą w kierunku przełęczy...

Początkiem lata, gdy śnieg choć trochę ustąpi, stada renów mają w zwyczaju migrować na północ. Na okres zimowy, kiedy

Kebnekaise – góra o wielu twarzach

Po pięciu dniach wędrówki docieramy do punktu kulminacyjnego. Przed nami Kebnekaise, czyli najwyższa góra Szwecji. Droga na szczyt wiedzie niemal wyłącznie przez tereny pokryte śniegiem i lodem. Takie warunki w połączeniu z ostrym podejściem nie są zbyt bezpieczne, zatem obowiązkowo ubieramy raki i ochraniacze, niektórzy zabierają ze sobą również czekany. Po mozolnej wspinaczce docieramy na pierwszy z trzech szczytów. Zastajemy tu kilka kopczyków ułożonych z kamieni przez odwiedzających to miejsce turystów. Na znak, że też tu byliśmy, układamy swój i zmierzamy dalej. Na wysokości około 2000 m n.p.m. wchodzimy w chmurę. Widoczność spada. Z trudem rozpoznajemy sylwetki osób idących w grupie. Idziemy, ostrożnie i powoli, by nie ześlizgnąć się w jakąś nieoczekiwaną przepaść.

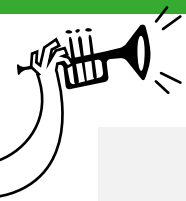
W końcu udaje nam się zdobyć ledwo co widoczny szczyt. Stoimy na południowym wierzchołku Kebnekaise. Co ciekawe, nie ma on stałej wysokości. Jako że jest pokryty lodem, jego wysokość waha się od 2111 latem do 2123 m n.p.m. zimą. Jednak średnia jego wysokości ze względu na globalne ocieplenie w ostatnich latach spada.

Wiatr w końcu przewiał chmury. Naszym oczom ukazuje się nieziemski widok. Gdzieś daleko u naszych stóp widnieje małe schronisko, z którego wyruszyliśmy. Zewsząd otaczają nas niekończące się góry. Między nimi, w kotłach i dolinach wiją się długie, białe lodowce. Mam wrażenie jakby ten krajobraz stanowił teraz cały świat...

Następnego dnia docieramy do Nikkaluokty, maleńkiej miejscowości zwanej tu miasteczkiem, w której kończymy swą przygodę z Kungsleden.

Miejsce to jest naprawdę warte odwiedzenia. Idąc szlakiem, mimo wysiłku fizycznego, udało mi się wypocząć jak nigdy dotąd. Góry Skandynawskie niosą ze sobą jakiś niesamowity spokój i wyciszenie.

Jerzy Walaszek



Kto się boi zielonego listka?

Jeśli nowe przepisy wejdą w życie, kierowcy, którzy dopiero co zrobili prawo jazdy, będą mieli trudniej.



Egzaminem dojrzałości zwykliśmy nazywać maturę. Ale wraz z wkroczeniem w dorosłość wielu młodych ludzi przystępuje jeszcze do innego, niemniej trudnego sprawdzianu. W sumie to nawet o wiele trudniejszego. W końcu zdanie matury za pierwszym razem nie jest uznawane za jakieś specjalne osiągnięcie. A zdanie egzaminu na prawo jazdy już tak.

Płac, płac i jedź

Aby triumfalnie wyjechać z Wojewódzkiego Ośrodka Ruchu Drogowego (WORD) z pozytywnym wynikiem, trzeba się wiele napocić. 30 godzin kursu teoretycznego w ośrodku szkolenia kierowców i 30 godzin jazdy po ulicach. Pomyślnie zdany egzamin teoretyczny (minimum 68 punktów na 74 możliwych) i dobrze przejechany egzamin praktyczny. Wcześniej jeszcze obowiązkowe badanie lekarskie i wyrobienie profilu kandydata na kierowcę w wydziale komunikacji. I do tego towarzyszące wszystkiemu srogie opłaty. Łącznie za zdobycie prawka w optymistycznym wariantcie przyjdzie nam wyłożyć jakieś 2 tys. zł. A jeśli wiele razy będziemy powtarzać egzamin – to więcej, bo za każde kolejne podejście do egzaminu w WORD zapłacimy odpowiednio 30 złotych za część teoretyczną i 140 złotych za część praktyczną (cały czas mowa tu oczywiście o najpopularniejszej kategorii B dla samochodów osobowych).

Ale wreszcie nadchodzi „ten dzień” i jako świeżo upieczony kierowca odbieramy wyczekiwane prawo jazdy. Czy możemy już w spokoju odjechać w stronę zachodzącego słońca i cieszyć się jazdą? Teraz jeszcze tak. Ale już wkrótce nie będzie to takie proste.

Idzie nowe

Wszystko za sprawą nowych przepisów, które mają wprowadzić tzw. okres próbny dla młodych kierowców. „Mają wprowadzić” – bo póki co cały czas pozostają zawieszony i już od pięciu lat czekają na wejście w życie. Miały być przepchnięte już półtora roku temu, w czerwcu 2018 r., ale odroczone je z uwagi na konieczność odpowiedniego przygotowania nowego systemu informatycznego Centralnej Ewidencji Pojazdów i Kierowców (CEPiK). Od tego czasu proponowane zmiany cały czas leżą w szufladzie. Coraz więcej jednak wskazuje na to, że już niebawem będą nas dotyczyć. Co będzie to oznaczało dla młodych kierowców? Osoby, które po raz pierwszy uzyskały prawo jazdy kategorii B będą poddane szczególnemu nadzorowi, czyli właśnie okresowi próbnemu. Potrwa on dwa lata i będzie wiązał się z szeregiem obostrzeń. Po pierwsze – świeżo upieczony kierowca będzie bardzo dokładnie kontrolowany. Jeżeli zdarzy mu się popełnić dwa wykroczenia przeciwko bezpieczeństwu w ruchu drogowym (np. kolizja drogowa czy przekroczenie limitu prędkości o ponad 30 km/h), okres próbny zostanie mu przedłużony o kolejne dwa lata. Jeżeli natomiast kierowca popełni trzy takie wykroczenia, straci prawo jazdy i będzie zmuszony wyrabiać je od nowa.

Młody kierowca pod lupą

Podczas okresu próbnego będzie więc znacznie łatwiej o utratę „prawka” niż w przypadku „normalnego” odebrania go za przekroczenie limitu 24 punktów karnych. To jednak nie koniec zmian. Młody kierowca będzie zobowiązany do wzięcia udziału w dodatkowym kursie doszkalającym. W okresie między 4 a 8 miesiącem od momentu uzyskania prawa jazdy będzie on musiał przejść szkolenie dotyczące bezpieczeństwa w ruchu



drogowym. Część teoretyczna w WORD i praktyczna w Ośrodku Doskonalenia Techniki Jazdy, za odpowiednio 100 i 200 zł opłaty. Po trzecie – młodych kierowców przez pierwsze 8 miesięcy okresu próbnego będą obowiązywały bardziej rygorystyczne ograniczenia prędkości. W obszarze zabudowanym nie będzie można przekraczać prędkości 50 km/h, a poza nim – 80 km/h.

Wolniej na autostradzie

Największą różnicę młodzi kierowcy poczną jednak na autostradach, gdzie zamiast maksymalnie dopuszczalnych 140, będą mogli pojechać jedynie 100 km/h. Skąd takie limity? Młodzi kierowcy z reguły nie mają absolutnie żadnego doświadczenia w jeździe z większą prędkością. Kursy na prawo jazdy w pierwszej kolejności przygotowują przede wszystkim do zdania egzaminu. A jako że autostrady i drogi szybkiego ruchu na egzaminie nie występują, to większość ośrodków szkolenia jazdę po autostradach zwyczajnie sobie odpuszcza. Nowy kierowca, wyjeżdżający na popularną A4 czy A2 jest więc nierzadko kompletnie zagubiony. Nadchodzące przepisy, ograniczając prędkość, mają więc dać kierującym czas na oswojenie się z nową sytuacją. Do tego dochodzi jeszcze zakaz podejmowania pracy zarobkowej jako kierowca przez pierwsze 8 miesięcy od dnia uzyskania prawa jazdy i – gwóźdź programu – obowiązkowe oznaczenie swojego auta symbolem zielonego liścia. Tak, tak – samochód prowadzony przez nowego kierowcę będzie specjalnie wyróżniany na wzór tych używanych przez szkoły jazdy. Tylko zamiast popularnej „elki” na dachu będzie nieco subtelniej – z przodu i z tyłu pojazdu

ma być umieszczona okrągła biała nalepka z zielonym symbolem liścia klonowego.

Stygmatyzujący listek

I oto całość zmian. Wystarczająco dużo, by młodzi kierowcy, którzy już zaczynają lub dopiero przymierzają się do zrobienia prawa jazdy, byli przerażeni. Listek nie jest może najstraszniejszy, chociaż i tu pojawiają się głosy o znakowaniu „świeżaków” i „kierujących drugiej kategorii”. Przede wszystkim chodzi jednak o masę nowych nakazów i ograniczeń. Ale policyjne statystyki pokazują, że zmiany są potrzebne. To osoby poniżej 25 roku życia mają największy udział w wypadkach. W 2018 roku aż 18,6% tragicznych zdarzeń na drogach było spowodowane przez grupę wiekową 18-24, a więc przez ludzi z najmniejszym doświadczeniem za kierownicą. Chociaż, tak po prawdzie, pozostałe 81,4% stłuczek wciąż jednak powodują „starsi”. Dlatego, jak już zmieniamy prawo i maglujemy nowych – weźmy się też za innych. Staremu wyjadaczowi – kierowcy z trzydziestoletnim stażem – zielony listek może i nie jest potrzebny. Ale badania lekarskie i dodatkowe kursy doszkalające o zmianach w kodeksie ruchu nawet i jemu nie zaszkodzą.

Łukasz Trzaska

Stowarzyszenie Demokracja w Praktyce

Wszystkie artykuły dostępne są na stronie internetowej:
www.demokracjawpraktyce.pl

PISANIE to Twoja pasja?

**DOŁĄCZ
DO NASZEGO
ZESPOŁU
REDAKCYJNEGO!**

**ZADZWOŃ
LUB NAPISZ
DO NAS
I DOWIEDZ SIĘ
WIĘCEJ:**



12 616-78-19



mlodziez@um.krakow.pl